

Zbigniew Lazarowicz

Aresztowanie

Przyszedłem na Dolny Śląsk w 1947 r., gdy prezesem tego okręgu WiN [Wolność i Niezawistość] był Ludwik Marszałek. Przed Marszałkiem szefem okręgu wrocławskiego był mój ojciec [Adam Lazarowicz, ps. „Klamra”], którego wówczas awansowali na prezesa całego obszaru zachodniego. Równocześnie był wiceprezesem Zarządu Głównego WiN-u u Łukasza Ciepłińskiego [prezesa IV Komendy WiN].

Pewnego dnia przyszedł człowiek, którego nie znałem, z kartką od ojca, żebym przyprowadził Ludwika Marszałka na kontakt na Karłowicach, na pętłę „siódemki”. Z Ludwikiem Marszałkiem kontaktowałem się w ten sposób: przy ul. Cybulskiego, gdzie Marszałek pracował pod innym nazwiskiem, była szafka telefoniczna. Na tej szafce telefonicznej malowaliśmy znak kredą. Zawsze się umawialiśmy, jaki to ma być znak. Jeżeli znak był, to oznaczało, że tego dnia spotkamy się – już nie pamiętam o której, chyba o 16.00 – pod pocztą na dawnej ulicy Stalina, obecnie Jedności Narodowej. Więc spotkaliśmy się. Powiedziałem mu, że ojciec prosi, żeby przyszedł tu i tu. Ludwik Marszałek mówi: „nie mogę wtedy przyjść”, bo coś tam mu wypadło, już nie pamiętam, co, ale, mówi, „idź ty (Ludwik Marszałek był moim dowódcą podchorążówki jeszcze z czasów wojny) i ojca przyprowadź na Trzebnicką koło gazowni. Tam jest przystanek i ja tam przyjdę za godzinę”. Pojechałem więc. Wsiadłem z tramwaju i nie zobaczyłem ojca, za to jacyś panowie się kręcili. Tajniaków można było rozpoznać – wszyscy mieli oficerki lub spodnie wojskowe, płaszczki skórzane, to się od razu rzucało w oczy. Zacząłem się denerwować. Tam był jeszcze przystanek autobusowy i postanowiłem sprawdzić, czy oni się mną interesują, czy to jest jakiś przypadek. Przeszedłem na przystanek autobusowy, za chwilę przyszli też oni. Wpadłem w panikę. Po głowie zaczęły mi krążyć myśli, jakby tu się ratować? Co z ojcem? Jak by go tu uprzedzić? Wpadłem w końcu na głupi i naiwny pomysł. Wróciłem na przystanek tramwajowy na pętłę. Wymyśliłem sobie, że stanę na przystanku tramwajowym i poczekam do ostatniej chwili i gdy tramwaj ruszy i nabierze rozpędu, wskoczę (wtedy się jeszcze tramwaje nie zamykały), odjadę kawałek, a ich zostawię na pętli. To było naiwne, bo oni mieli samochód

tam gdzieś w pobliżu. Gdy tramwaj ruszył, wskoczyłem, a za mną czterech cywilów. Jedziemy. Stoję na pomoście i raz mi gorąco, raz mi zimno, wyskoczyć czy... Dwóch stanęło koło mnie, a dwóch przeszło na przedni pomost. Zawirowało mi w głowie. Podjeżdżamy do tego przystanku, gdzie miałem ojca przyprowadzić, tam, gdzie miał przyjść Marszałek, a oni podchodzą do mnie i mówią: „panie Lazarowicz, prosimy nie uciekać, my jesteśmy z bezpieczeństwa. Panu nic nie grozi, pan nie jest aresztowany, pan jest zatrzymany do wyjaśnienia, nich pan nie próbuje uciekać, bo może się to źle skończy”. Dwóch wzięło mnie pod rękę, ale ja mówię: „nie jestem Lazarowicz, to pomyłka” – bo miałem dokumenty na inne nazwisko. Oni na to: „a jak, może Wolański?”, a ja na to: „nie” (bo miałem dokumenty na Kowalski), a on: „a jak, Kowalski?” (wymienił wszystkie moje konspiracyjne nazwiska). „Co się będziemy czarowali panie Lazarowicz”. Z tyłu stała już cytryna (czarny citroen). Ich było sześciu, a ja byłem siódmy, ciasno było w tym samochodzie. Pomyślałem sobie: „co się ze mną stanie?” Byłem zadowolony, że nie aresztowali ojca. W tym momencie jeden z ubeków jakby odgadując moje myśli powiedział: „pan się zapewne boi, że będziemy go bili i torturowali. Na pewno tak panu mówiono, ale nic z tego nie będzie. Pan nie jest zresztą aresztowany, tylko zatrzymany do wyjaśnienia. Zresztą zobaczy się pan za chwilę z ojcem (...)”.

W ostatnim słowie ojciec mój przed egzekucją prosił, żeby nam przekazali, że niczego nie żałuje i że gdyby jeszcze raz znalazł się w tej sytuacji, to zrobiłby tak samo. Ojciec mój już był ochotnikiem w I wojnie światowej, nawet sfalszował dokumenty, bo miał tylko 17 lat. Potem dziadek go ściągnął do szkoły. Przed maturą w Jaśle zorganizował, że roczniki starsze zgłosiły się do walki w 1920 r.